NUMER 28. DNIA 12-go LIPCA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(2)

— Będziemy pisywali — mówił Stefan, siadając z drugiej strony, ale wnet zerwał się i spojrzał na zegarek. — Czas, czas... Anno, dawaj kolację i ubieraj dziecko... Hej, Betinget, zaprzęgaj!

W godzinę potem ładowny wóz toczył się wartko po szerokiej, ubitej drodze, stwardniałej od letniej spiekoty. Koła lekko obracały się na suto posmarowanych osiach żelaznych, konie, wstrzymywane przez Betingeta, biegły równo i raźno. Rudy kurz wzlatał kłębami zpod kół i kopyt i rozwłóczył się po gościńcu. Na wozie siedziała rodzina Karskich i Karol z dubeltówką na plecach.

Milczeli.

Milczały również po bokach nieprzejrzane modrzewiowe lasy, nagrzane za dnia, obecnie jakby omdlałe od mocnych smolnych zapachów, z zielenią poblakłą, poszarzałą i nasiąkłe różowym zmrokiem. Milczały śródleśne trawiaste doliny i lśniące się wśród nich jeziora pod cieniuchnym muślinem nocnego oparu. Milczały mijane chaty, z ich kominów nie snuły się dymy, w oknach nie błyskało światło. Spały stada, ułożywszy się pstremi gromadkami na osędziałych od rosy pastwiskach. Usnął wiatr wśród zwichrzonych przez się za dnia badyli, kwiatów i traw. Umilkł pogwar fal. Nie szemrały liście, nie szumiały niwy... Na wszystkiem leżała pięczęć majestatycznego spokoju i... obojętności. Jakby cały ten kraj chciał dobitnie raz jeszcze powtórzyć odjeżdżającym, że nikt tutaj po nich nie zatęskni, nawet nie westchnie, chyba ten ich towarzysz, bolejący nad tem głównie, że musi tu pozostać...

A nad wszystkiem płynęła górą spokojnie biała, bezwiedna, letnia noc podbiegunowa, rozpuściwszy szeroko przejrzysty swój welon.

— Poco ja jadę? przecie... nie dojadę! — zerwał się wreszcie Karol. — Stań, Betinget! Żegnajcie!...

Uściskali się krótko, mocno, mężnie, poczem wóz zaturkotał dalej, a myśliwy zawrócił na boczną drożynę i utonął w zaroślach. Gdy chwilę potem Anna obejrzała się za siebie, już nikogo nie było na drodze.

— Ach, jestem niegodziwa egoistka, ale... nie mogę, nie mogę teraz się smucić! — rzekła kobieta, opierając głowę na ramieniu męża. — W duszy gra, spiewa... jakiś hymn potężny, jakiś tryumf!... Gdyby nie wstyd i nie obawa, że obudzę Olesia, krzyczałabym w głos, śpiewałabym... Do życia, do ludzi!... Nareszcie, nareszcie!.. Jakieś zorze wstają po długiej nocy... I smutno mi, i wesoło i jakoś straszno... ale słodko, ale upajająco... Serce mi drży w takt warkotu kół i konie wydają mi się naszemi skrzydłami...

— Betinget, puść konie, za mocno je zdzierasz. Niech cokolwiek pobiegną! — rzekł Karski.

— Obżarte są, zapalą się odrazu...

— Puść, puść, nic im nie będzie, dalej znowu wstrzymasz!

Droga staczała się po łagodnej pochyłości. Można było nie obawiać się ani wybojów, ani korzeni, gdyż las odstąpił daleko od przydroża, otwierając rozległy widok na spuszczające się coraz bledszemi smugami ku rzece zielone łąki i sinawe góry zamykające widnokrąg.

Jakut popuścił lejce, pochylił się nad końmi i krzyknął dziko. Zwierzęta drgnęły, skuliły się, potem zachrapały, rozpuściły ogony i grzywy, szarpnęły jak obłąkane i poniosły, jak wicher. Koła zaturkotały, jak loty jastrzębie, wóz zadrżał rozpaczliwie, a na podróżnych ten pęd odpowiadający ich uczuciom podziałał, jak wino. Oczy ich zabłysły, rysy zaostrzyły, na licach zapaliła się łuna; przyciśnięci do siebie, pochyleni, lecieli naprzód, jak dwugłowy gryf, tuląc do piersi spokojnie dziecię. Lecieliby tak nieustannie, aż do samego kraju!

Lecz pod górą woźnica konie zatrzymał, stanął, zszedł z kozła, wytarł rozhukanym zwierzętom nozdrza i boki sianem, dał im chwilkę wytchnąć, przegryźć po garści suchej trawy i ruszył ku szczytowi piechotą. Karski też z siedzenia zeskoczył i poszedł po drugiej stronie wozu.

Po stromym wjeździe dostali się na dziką, lesistą wyżynę. Stąd droga wszywała się w samo serce ciemnej, niezamieszkanej tajgi. Tu i owdzie rozświetlały las obszerne błota, porosłe kępami i szuwarem. Czarne jeziora błyskały w cieniu zarośli. Ale ryba nie pluskała się w nich; nigdzie nie było widać ptaszka, ani zwierzęcia i żaden dźwięk nie naruszał ciszy. Tylko koła wozu stukotały po siatce żylastych korzeni, obnażonych na gliniastej drodze lub grały przykrego marsza na dylach grobel, ułożonych niedbale, w poprzek moczarów. Podróżni tańczyli podówczas na siedzeniach bolesny, przymusowy taniec, a znudzone konie wlokły się leniwo, wyszukując starannie, wśród wybojów miejsc dogodnych do postawienia kopyta.

W południe dotarli do sadyby jakuckiej, jedynego przystanku w tej części drogi.

Karski niepokoił się i rwał naprzód, ale trzeba się było posilić i koniom dać wypocząć.

— Stąd droga dobra, pojedziemy! — pocieszał go Betinget.

Karski znał doskonale drogę i wiedział, że ta dobroć polegała na dodaniu lotnych piasków do poprzedniej kombinacji stwardniałej gliny i cuchnących bagien.

Gdy stanęli wreszcie na urwistym zjeździe, wiodącym znowu do doliny rzeki, słońce już zniżało się ku zachodowi. Ponad czubami drzew, gwałtownie opadających na dół, otwierał się widok rozległy na pola, łąki, wsie i oddzielne sadyby z bladą wstęgą drogi, wijącej się wśród nich.

Karski chciwie zapuścił oczy daleko, daleko w stronę, gdzie nad srebrzystą smugą wody skrzyły się w promieniach zachodu nikłe iskierki miejskich wieżyc złoconych. Szukał dymu przystani, ale zostało jeszcze prawie cztery mile do przebycia i dymy nikły we mgle odległości.

Zjechali ze spadzistości z szaloną szybkością przyzwyczajonych do takiej jazdy syberyjczyków. Konie znów rozgrzały się i rozszalały.

— Puść je, puść! — Droga dobra!

— Daleko!... — odrzekł niechętnie Betinget, który miał obiecanego jednego z koni.

Ale ponieważ obietnica była warunkową, więc chłopak z trwogą spoglądał na słońce i nawet popędzał chwilami zwierzęta.

Pod koniec mknęli pełnym, wyciągniętym kłusem. Karski lubił konie i znał się na nich. W czasie długiego w tym kraju pobytu dobrał był sobie słynną na całą okolicę parę. Teraz zwierzęta, jakby chcąc mu się odpłacić za pieczołowitość, grzmiały po ubitej drodze, jak lecąca burza, aż echo odbijało się w górach. Mijali szumiące kłosami niwy w opłotkach, mijali otwarte pastwiska, skąd stada już wracały do domów, odrapane jurty jakuckie, gdzie zwykle z ujadaniem witały ich psy kudłate; przelatywali błyskawicą przez bogate, dobrze zabudowane wsie „skopców“ [1]), wywołując zdziwienie na obrzękłych, kobiecych twarzach spotykanych kastratów.

(C. d. n.)

[1]) Skopcy jest to sekta wielkoruska, kastrująca z pobudek religijnych kobiety i mężczyzn, do niej należących.

PRZED BURZĄ.

Cicho...
Po łąkach błądzi
Melancholii senny cień...

Zboża znużone pochyliły kłosy...
Drzewa tajemną śpiewają pieśń
O Śmierci,
Która przychodzi w południe
I swem gorącem całowaniem
Niemoc zaszczepia w Życie.
O jaka cicha — grobowa chwila...
Starcy pożółkłe wychylają twarze
I patrzą w słońce
I płaczą...
O jaka cicha — grobowa chwila...
Znużenie...
A moja siostra nieodstępna — Nuda
Patrzy w me oczy,
Całuje me oczy
I tuli mię do siebie..,
O jaka cicha — grobowa chwila...

Drzewa zadrżały —
Zboża podniosły kłosy —
A moja siostra nieodstępna — Nuda
Skrzywiła twarz...
...W oddali grom zahuczał...

ŚNI MI SIĘ...

Śni mi się jakiś rycerz w spiż okuty,
Jak górskie turnie hardy i ogromny,
Pełen zuchwałej i szlachetnej buty,
Wiecznie walczący i wiecznie niezłomny.

Śni mi się jakiś rycerz nieugięty,
Który powstanie z łun pożarnych słońca
I hufy dzielne w bój powiedzie święty
I świat obudzi od końca... do końca!...

Feliks Gwiżdż.

NOWELE I POWIEŚCI ORKANA.

(2)

Dwa lata tylko dzieli ukazanie się pierwszych nowel Orkana od wydanego w roku 1900 nowego zbioru szkiców i obrazków p. t. „Nad urwiskiem“, ale różnica między temi dwiemi książkami przepaścista. Tam mieliśmy do czynienia z pierwszemi próbami zdolnego i kochającego swe otoczenie najbliższe studenta, tu — wyłącznie już prawie z utworami skończonego i świadomego swych środków artysty. Różnica ta zresztą dotyczy głównie formy i języka, który tu wyplastycznił i zmężniał; treść nie uległa zmianom poważniejszym, choć również pogłębiła się znacznie. Owo dążenie autora do zaznajomienia szerszego ogółu ze swemi ukochanemi górami, z życiem ich mieszkańców i z tym ich smutkiem, który, „gdy się rozpęta, gdy się uduchowi, staje się smutkiem ugorów i tłoków, i tych jałowców, i tej pustki głuchej, rozpaczą prawie, żalem beznadziejnym, tęsknotą wieczną trawiących dusz“, — uwypukliło się tu jeszcze i znalazło wyraz w szeregu krótkich, ale wymownych szkiców pod ogólnym tytułem „Z krainy Gorców“, oraz w kilku prześlicznych obrazkach („Wilija“, „Na godnie święta“, „Bazie“, „Wesoły dzień“), odtwarzających systematycznie, niekiedy z epicką niemal powagą

i drobiazgowością, ważniejsze uroczystości doroczne ludu podkarpackiego.

Uwypukliła się również i przybrała w formę artystyczną myśl inna, troska głęboka i poważna, która Orkanowi nie da odtąd spokoju, do której powróci parokrotnie i którą uczyni jedną z idei przewodnich najlepszego dotąd ze swych utworów, dwutomowej powieści „W roztokach“. Troska to o przyszłość tego ludu górskiego, drobiącego na coraz mniejsze kawałki szczupłe działy gruntu, odziedziczonego po przodkach i nie mogącego już dziś wystarczyć na wyżywienie zraszających go swym potem rodzin. A co będzie dalej, co dalej, gdy działki zmniejszą się jeszcze? Obawę tę, zdającą się przygniatać pierś Orkana, autor wypowiada po raz pierwszy z siłą niepospolitą w króciutkim szkicu „Nad urwiskiem,“ gdzie przed przerażonym góralem staje okropna wizja przyszłości beznadziejnej i strasznej dla plemienia całego. „Z wyobraźni znikła wieś dawna, którą jeszcze w myślach nosił — i dzisiejsza oddalała się zwolna — aż zpoza mgły, z przyszłości, występują miedze... same miedze, jedna przy drugiej, gęsto, jak skiby na uwrociu... Wilgotne bruzdy czerwienią się rdzawo, jak gęsto ścięta, skrzepła krew... A tłumy ludzi idą — mrowiskiem, czernią, miljonową szarańczą zalewają krwawe pola... I widać, jak się to robactwo kłębi, dusi i spycha i walczy zajadle o każdą skibę, aż ziemia powilgotniała od czarnej posoki, a ciepłe opary wznoszą się w powietrzu...“

Przechodząc od nowel i obrazków Orkana do jego powieści obszerniejszych, zauważyć musimy, że pierwsza z nich, „Komornicy“, chociaż maluje również piórem, maczanem w sercu, pełnem wzruszenia i miłości, mało nam znane a ciekawe stosunki, choć ma scen parę, pełnych napięcia dramatycznego, nie stoi jednak wogóle, pod względem czysto artystycznym, na tym wysokim poziomie, na który wzniósł się już autor we wszystkich prawie szkicach i obrazach, objętych wspólnym tytułem „Nad urwiskiem“. Być może zresztą, że najlepsze z nich przynajmniej napisane zostały później od „Komorników“. Obie książki noszą na okładce datę roku 1900, lecz pierwszą powieść Orkan wykończył już na schyłku roku 1898, i to właśnie zapewne wytłómaczyćby nam mogło względną jej niższość od nowel niektórych.

Pamiętacie np. taką „Juzynę“? — Jest to sobie drobiazg tylko, dramat małego zgłodniałego pastuszka, któremu nie przynieśli na pastwisko górskie obiecanego święcie podwieczorku. A jednak na kilkunastu stronicach tego urywka autor umiał sięgnąć tak głęboko do duszy biednego sieroty i tak ustopniować doznawane przezeń kolejno uczucia, że nie zawahalibyśmy się postawić tego drobnego obrazka obok najpiękniejszych pereł nowelistyki polskiej.

Tej właśnie głębokiej a przejrzystej zarazem psychologji, tej prostoty środków, zmierzających do celu jednego, tej nawet jędrności i barwności języka, któremi nacechowany jest cały zbiór „Nad urwiskiem,“ brak jeszcze wogóle w „Komornikach,“ nie wywierających wrażenia dzieła jednolitego i skończonego, lecz raczej kilku epizodów osobnych, luźnie dosyć i nawet trochę sztucznie połączonych w całość obszerniejszą.

Trzy nowele co najmniej możnaby wykroić z tej powieści. Pierwszą, najciekawszą i najgłębszą tworzy dramat starego młynarza, kowala i wogóle majstra wiejskiego, zamożnego i szanowanego powszechnie Chyby, którego sławę długoletnią zaćmiewać zaczynają w oczach gromady niezwykłe wynalazki syna, genjalnego mechanika-samouka, wiecznego „dumaca i niemrawy“ — Jaśka. Jeszcze chłopcem małym będąc, strugał on fujarki, naprawiał harmoniki i robił w kuźni przy ojcu. Z czasem ojciec zdał na niego kuźnię i rad widział, że syn garnie się do świata. Ale cóż? Jaśkowi kuźnia nie starczyła, począł majstrować koło tracza, porobił nowe koła, młyn naprawił — i ojciec ze zgrozą zobaczył, że syn umie więcej od niego. Z każdą nowo wymajstrowaną maszyną wzmagała się zawodowa zazdrość starca, dotkniętego głęboko w swej ambicji i powadze ojcowskiej, znoszącego katusze rozszalałej pychy i zawiści, doprowadzające go wreszcie do napół świadomego zabójstwa syna, ginącego między kołami tracza, na które wodę puścił umyślnie stary Chyba.

(D. n.) *Wł. Bukowiński.*

Włodzimierz Wolski.

(Ciąg dalszy).

Pomimo jednak wielu pięknych utworów Wolski, jako poeta, nie dotrzymał tego, co zdawały się zapowiadać jego pierwsze występy. Talent jego poetyczny zamiast rozwijać się, słabł coraz więcej. Czuł to on sam zapewne, bo przerzucił się do prozy. Wprawdzie pierwszą próbą tego rodzaju były „Skrzypce," ale próba ta niezmiernie słaba nie zapowiadała powieściopisarza. Drukował ją w owej „Jaskółce," która wobec „Biblioteki warszawskiej" i „Przeglądu naukowego« była czemś nakształt dzisiejszych secesji artystycznych. W owym czasie zajmowano się u nas bardzo fantastycznemi powieściami Hofmana i wpływ ten znać wyraźnie na „Skrzypcach". Że Wolski był pod wpływem Hofmana, świadczy fakt, że tłómaczył nowelę „Don Żuan" i przekład ten włączył do pierwszej serji swoich powieści, wydanych w Wilnie u Zawadzkiego, w roku 1850 i 1852.

Do „Skrzypiec" wchodzi jakiś bardzo stary instrument, wyrobiony z nieznanego drzewa i akord tajemniczy, który bohaterowi zawsze zapowiada nieszczęście. Bohater ten, zawiedziony w miłości, spotkawszy dawny ideał na ostatnim stopniu poniżenia, ciska skrzypce o ziemię, a te tłukąc się w drobne kawałki, wydają raz jeszcze tajemniczy akord, którego dźwięk znał on zbyt dobrze, gdyż był dla niego zawsze przepowiednią nieszczęścia, a teraz zwiastuje mu ostatnią godzinę, bo zrozpaczony rzuca się do Wisły.

Dobrowolna śmierć w nurtach rzeki jest to zakończenie wielu utworów Wolskiego. Kto wie, czy nie wypowiadał on w ten sposób pokusy, która go może nieraz nawiedzała.

Inne nowele są bardzo rozmaitej wartości; do najlepszych należy „Czarna wstążka" i „La cachucha", obie osnute są na tle życia towarzyskiego ówczesnej Warszawy. W pierwszej szczególniej umieszczone są sylwetki osób znanych, naturalnie trochę tylko ubarwione fantazją autora,

Bohaterem tej noweli jest młody muzyk Antoni, pełen talentu a nieoceniony, gdyż nie umiał chwalić się, narzucać, reklamować. Usłyszała go raz przypadkiem wielka pani zamiłowana w muzyce, która poznawszy się na jego wartości, proteguje go skutecznie. Ale gdy ona proteguje artystę, a dla człowieka ma tylko sympatję, on zakochuje się w kobiecie. Jest tu nieporozumienie, zbyt często zdarzające się w życiu, łamiące nieraz przyszłość, brzemienne nieszczęściem. Nieszczęściem stało się też dla biednego muzyka, który rozpija się z rozpaczy, zatraca talent i umiera, zaziębiwszy się pod balkonem ukochanej.

Faktem znamiennym jest, że postać kobiety narysowana jest z wielką subtelnością. Łatwo jednak było zrobić z niej wietrznicę, kokietkę, igrającą z cudzem sercem. Tymczasem „blada pani", bo to imię tylko nosi w noweli, nie jest kokietką, nie lekceważy cudzego serca. Wchodzi tu w grę jedno z tych nieporozumień, które nieraz doprowadzić mogą do rozpaczy naturę namiętną a dziecinnie naiwną, jakim był wielki artysta. Niepodobna też się dziwić, że blada pani miała jedynie sympatję dla artysty, ale nie pomyślała nawet o innem uczuciu.

Jest to jeden z najlepszych utworów Wolskiego, pisany ciepło i serdecznie, nasuwa myśl, że opisał rzecz widzianą, a kto wie, może nawet rzecz przeżytą.

Obok sylwetek towarzyskich, spotykamy tu postacie ze świata urzędniczego, typu nie istniejącego już dzisiaj, zatraconego oddawna, we wszystkich przemianach społecznych. Postacie te są widocznie brane z natury, jak ów nieoszacowany Korneli, brat artysty, ze swoim urzędowym stylem, drobiazgową metodycznością i poczciwem sercem, ukrytem głęboko.

Inne znów warstwy społeczne przedstawił Wolski w „Bakałarzu". Mamy tu mieszkańców wiejskich dworów, warstwę najwięcej wówczas wpływową, z jej ujemnemi i dodatniemi stronami.

Główny bohater, Ufalski, może być śmiało uważany jak typ przeciętnego obywatela ziemskiego. Dobroduszny, poczciwy z natury i wychowania, popełnia przecież uczynki nie mające nic z uczciwością wspólnego. Jest najgorszym

mężem, najgorszym opiekunem pasierbów, których pomimo to kocha szczerze, obowiązków zaś społecznych nie tylko nie spełnia, ale wprost nie domyśla się, że one istnieją. Gra, pije, hula, ma kosztowne miłostki, pragnie wystawnością życia dorównać bogatszym sąsiadom, pożycza, nie wiedząc skąd odda i traci, nie wiedzieć na co, pożyczone na ogromny procent pieniądze. Słowem, jest to jeden z tych bezmyślnych marnotrawców, których pokolenie wygasnąć nie może, choć na nieszczęście, tak już nie wiele mają do zmarnowania.

Złe interesy popychają Ufalskiego aż do fałszerstwa. Popełnia je niechcący, nie wiedząc sam kiedy, nie zdając sobie sprawy dokładnej z tego, co uczynił. Dopiero kiedy wierzyciel rzuca mu w oczy ohydę tego faktu, grozi następstwami, oburza się w nim duma szlachecka, rzuca się na wierzyciela i uderza go tak nieszczęśliwie, że kładzie trupem na miejscu.

Na szczęście Ufalskiego jedynym świadkiem wypadku, jaki zdarzył się wieczorem na publicznej drodze, był Szyk, nauczyciel jego pasierba, tytułowa postać powieści, najzacniejsza dusza w świecie. Szyk będąc od lat kilku w domu Ufalskich, przywiązał się do nich całem sercem, a przy tem kocha się w milczeniu, beznadziejnie w Paulince, siostrze swego ucznia. Paulinka naturalnie nigdy się tego nie domyśla; dla niej ten suchy, nudny bakałarz, którego walka o byt, toczona od dzieciństwa, uczyniła nieśmiałym i niezgrabnym, nie istnieje właściwie, jest on tylko bratem Feliksa. Szyk ma młodszego brata, którego wychował własną pracą, któremu dał wyższe wykształcenie, a teraz godzi się z losem i widzi bez zazdrości, że ten brat osiągnie szczęście, o jakiem on nigdy marzyć nie śmiał. Teraz, gdy Ufalski zagrożony jest sprawą o morderstwo, pozwala, by posądzenia skierowały się na niego, choć mógł je odrazu rozproszyć.

Wolski, jeden z pierwszych, zwrócił uwagę na skromną postać domowego nauczyciela, podniósł ją do ideału, obdarzając wszystkiemi cnotami, jakich brakło takim Ufalskim, chociaż na pochwałę Ufalskim powiedzieć trzeba, że umieli Szyka ocenić. Autor nie kreślił tu tendencyjnie karykaturalnych postaci, przeciwnie, malował z pewną sympatją, choć wiernie — świat, jaki go otaczał. Powieść jego poprzedzała o lat dwadzieścia „Bakałarzy“ Pługa, a chociaż równać się z nią nie może, jest tu widoczne pokrewieństwo idei. On także chciał podnieść stan nauczycielski, lekceważony w owym czasie.

Najważniejszą jednak z powieści Wolskiego jest ostatnia „Dworek przy ulicy Głębokiej“, opisuje w nim bowiem sfery rzemieślnicze Warszawy, nietykane dotąd przez naszych autorów. Kraszewski nawet, który w „Latarni Czarnoksięskiej“ i innych opisał chłopów, (Historja Sawki, Ulana) żydów (Historja Herszka), a nawet arystokrację małego miasteczka, rzemieślników nie wprowadził jednak do żadnej swojej powieści. Uczynił to pierwszy Wolski, a co dziwniejsze na owe czasy, uczynił to w sposób prawdziwie realistyczny. Realizm przebłyskiwał już u niego w najpierwszej noweli „Skrzypce“, bo jakkolwiek zapatrywał się wówczas na Hofmana, nie był to jego jedyny pierwowzór. Wykształcenie literackie i znajomość obcych języków przyszły mu w pomoc widocznie i przywiodły na myśl jednego z największych powieściopisarzy angielskich.

W przedmowie do „Domku przy ulicy Głębokiej“, przyznaje sam, iż, pisząc go, zapatrywał się na Dickensa. Wolski i Dickens nie były to jednak talenty pokrewne, naszemu autorowi brakło zarówno humoru, jak rzewnej nuty, dźwięczącej tak silnie w twórcy Copperfielda. W zakroju przecież i układzie ostatniej powieści Wolskiego znać, że sobie zakreślił on także szerokie horyzonty, wprowadził i zręcznie poplątał losy ludzi, należących do sfer różnych. Głównym przecież bohaterem jest uczciwy kowal Szczepaniak i jego hoża, gospodarna córka Marysia. Obok nich występuje komiczna i przebiegła lokatorka z facjatki, wdowa po urzędniku, z pretensjami do elegancji, francuszczyzny. Chełpi się ona „swoją sferą“, pochodzeniem, udaje dostatek, gardzi niby uczciwym kowalem ale chętnie korzysta z gościnności jego. Jedynak jej, Marceli, próżniak, wyzyskiwacz, stara się bałamucić piękną kowalczankę, która jednak w rezultacie zaślubia zacnego i wykształconego rzemieślnika.

(D. n.) *Walerja Marrené-Morzkowska.*

PAMIĄTKI PO KS. JÓZEFIE.

W tych dniach otrzymało historyczne muzeum miasta Lipska wspaniały zbiór pamiątek po księciu Józefie Poniatowskim. Mianowicie zmarła niedawno panna Similda Gerhard, długoletnia właścicielka ogrodu nad rzeką Elsterą, w tem samem miejscu, gdzie dnia 19. października 1813 utonął ks. Józef Poniatowski, ofiarowała miastu bardzo ciekawy zbiór pamiątek, gromadzonych przez całe życie tylko dla tego, że była właścicielką historycznej posiadłości. Zbiór ten obejmuje przeszło 40 numerów, a mianowicie — nie licząc rozlicznych sztychów, które się odnoszą do tragicznej śmierci bohatera, kilka oryginalnych jego portretów, wśród których zwraca uwagę wielki i bardzo pięknie wykonany portret pastelowy. Znajduje się dalej w tym zbiorze olbrzym marmurowy — biust księcia Józefa, bardzo wielkiej wartości artystycznej i medal gipsowy do posągu, wykonany przez Thorwaldsena, dalej — siodło i pistolet bohatera, modele jego grobowca, szczątki ubrania, broni i t. p. wszystko to gromadzone z całym pietyzmem przez rodzinę Gerhardów. Z niemniejszym też pietyzmem przyjęło ów dar miasto Lipsk, a dodając do niego i inne pamiątki po księciu Józefie Poniatowskim, które już przedtem posiadało, tworzy z nich razem osobny oddział w muzeum, oddział imienia Poniatowskiego, w którym znajdzie się także specjalnie zamówiony portret hojnej ofiarodawczyni.

Donosi o tem jedna z niemieckich gazet, a przy czytaniu tych wyrazów gorzkie nasuwa się porównanie naszego braku uszanowania dla pamiątek przeszłości.

Niemców niewiele obchodzi książę Józef Poniatowski, owszem, zginął w walce przeciwko nim samym, po stronie Napoleona, a jednak czczą go oni... osobnym oddziałem muzealnym!

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Karłowicz Jan: *„O człowieku pierwotnym“*, siedm odczytów str. 163. Lwów, nakładem Towarzystwa wydawniczego r. 1903.

Tytuł niezupełnie odpowiada treści: autor nie pisze o człowieku pierwotnym w ogóle, lecz zajmuje się wyłącznie prawie jego wierzeniami.

W literaturze naszej posiadamy już przekłady cennych dzieł, dotyczących początków wierzeń religijnych, a więc: pierwszy tom „Socyologji“ Spencera i „Cywilizację pierwotną“ Tylora; z popularniejszych zaś: „Animizm“ Witorta i „Mitologję“ Langa. Nowa praca niedawno zmarłego śp. Karłowicza jest mimo to pożądaną z tego względu przedewszystkiem, że jest bardzo popularna; łatwiejszą jest nawet od dwu ostatnich. Drugą jej cechą dodatnią jest to, że autor dowodzenie swoje ilustrował przykładami z wierzeń ludu polskiego, co wykazuje dobitnie, że ewolucja umysłowa naszego ludu w głównych swych zarysach była analogiczną do ewolucji ludów innych.

W pierwszym odczycie autor mówi o epoce przedhistorycznej, daje ogólną jej charakterystykę, wykazując przez co człowiek wyodrębnił się od świata zwierzęcego. Zdaniem Karłowicza używanie narzędzi i posługiwanie się mową wznosi człowieka ponad inne twory świata zwierzęcego, z których się wyłonił. W tymże odczycie autor charakteryzuje sposób rozumowania ludzi pierwotnych, który prowadzi ich do zabobonów. Oto przykład:

„igła tak jest ostra, jak słowa kłótni, więc igła wsadzona w pościel nowożeńców sprowadzi kłótnię między nimi".

Powyższy sposób rozumowania polega na wysnuwaniu wniosków, które opierają się na utożsamianiu cech pewnego przedmiotu z cechami pewnych stosunków między ludźmi, jeżeli ci ostatni stykać się będą ze wzmiankowanym przedmiotem.

Następnie autor przytacza wiele innych przykładów powstawania zabobonów, charakteryzujących myślenie pierwotne.

W drugim odczycie mówi Karłowicz o animizmie pierwotnym, który ożywia i uduchowia przyrodę. Wszystkie przedmioty martwej przyrody w wyobraźni praczłowieka stają się żywymi. Duchy skrywają się w zwierzętach, roślinach, kamieniach i we wszystkich zjawiskach przyrody. Autor barwnie przedstawia powstanie tych wierzeń i zarys ich rozwoju.

Ciekawymi bardzo są dwa następne odczyty „o duszy człowieka żyjącego" i „o duszy po śmierci człowieka". Mamy tu przedstawione różne koncepcje duszy, upodobnienie jej do krwi, oddechu i tp. Autor zatrzymuje się nieco obszerniej nad wiarą w wilkołaków.

U naszego ludu znajdujemy wszystkie odcienia wierzeń, dotyczących duszy po śmierci, spotykanych u innych ludów. Tylko wiara w metampsychozę nie zapuściła u nas korzeni.

Odczyt piąty poświęcony jest „cudownej mocy słowa", autor bada źródła wiary w zamawiania.

„Kiedy człowiek pierwotny dostrzegł, że na wykonanie woli jego przez słabszą od niego jednostkę wystarcza rozkaz słowny; kiedy zauważył . . . że nawet przedmiot bezduszny uległ jego woli (co mogło być przypadkowem), wówczas zapewne uwierzył, że w pewnych razach, bo ograniczenie to przetrwało po dziś dzień w wierzeniach ludu naszego, słowo ma potęgę magiczną, wtedy jednak, gdy jest wymówione z zachowaniem pewnych warunków".

Szósty odczyt poświęcony jest wierzeniom, dotyczącym doli, niedoli, przeznaczenia. I w tych wierzeniach główną rolę odgrywa animizm, który personifikuje te pojęcia.

Ostatni odczyt jest stosunkowo najsłabszy, autor chciał rozpatrzeć prawo pierwotne, w rzeczywistości jednak tego nie zrobił i rzucił tylko garść luźnych uwag o zemście rodowej, o umowach i t. p.

Wszystkie odczyty ilustrowane są licznymi przykładami. Wierzenia pierwotne są przedstawione z wielką znajomością rzeczy.

Odczyty powyższe mają cechę wolnomyślno-racjonalistyczną, szlachetna postać autora zarysowuje się zpoza nich dość wyraźnie; szczególnie da się to powiedzieć o ostatnim odczycie, w którym autor wypowiedział swój pogląd na przeszłość i teraźniejszość. Zaznaczył on, że postęp polega na wyzwoleniu się z pęt, nałożonych nam przez stare wierzenia. Mówiąc o czasach teraźniejszych, autor zaznaczył swe krytyczne stanowisko wobec kapitalizmu i szowinizmu.

Karłowicz pozostał wierny swym ideałom młodości do końca. Ostatnia książka zasługuje, jak i inne jego prace, na szerokie rozpowszechnienie.

PISMA. Krytyka: Zeszyt czerwcowy i lipcowy.

Z artykułów treści społecznej zasługują na szczególną uwagę — Józefa Zielińskiego p. t. „Z ruchu robotniczego we Francji". Autor usiłował scharakteryzować jeden z trzech istniejących obecnie prądów socjalistycznych we Francji.

Jak wiadomo, są tam socjaliści czyści, przeciwni kompromisom z burżuazją, dążący do pochwycenia władzy politycznej w państwie i nie cofający się przed myślą o rewolucji; następnie socjaliści— oportuniści, marzący o urzeczywistnieniu swych celów li tylko na drodze prawodawczej, w parlamencie, przy pomocy sojuszów i kompromisów z pewną częścią burżuazji; wreszcie — socjaliści, wyłącznie prawie robotnicy —im poświęca Zieliński swój artykuł,— którzy negują zupełnie akcję parlamentarną i siły swe wyłącznie oddają organizowaniu się w syndykaty, związkowi giełd pracy i związkowi pracy. Zajmują się oni wyłącznie walką ekonomiczną na dziś, marzą o wywołaniu strejku generalnego, który byłby początkiem rewolucji. Sympatje Zielińskiego są po stronie tej ostatniej frakcji francuskich socjalistów. Artykuł charakteryzuje jej siły i organizację. Nie sądzimy, aby usuwanie się od polityki było dodatniem, natomiast uznajemy doniosłość walki pozaparlamentarnej, która dodaje sił socjalistom w izbie i która w decydującej chwili mieć może główne znaczenie.

Z innych artykułów społecznych wymienić należy przychylną krytykę książki Scriptora „o stronnictwach skrajnych" napisaną przez p. A.

Artykuły wstępne są poświęcone rzezi kiszeniewskiej i wypadkom belgradzkim.

Belmont pisze o nowym dramaturgu rosyjskim — Najdieniowie, którego utwór „Dzieci Waruszyna" zrobił furorę w całej Rosji. Najdieniow zapowiada świetny talent pisarza społecznego.

Ktoś podpisany literą G. pisze o romantyzmie dawnym i nowym ku niemu zwrocie.

Zeszyt zawiera jeszcze nowelkę Stefanyka p. t. „Besarabowie", Jedlicza urywek z dramatu „Złe roki" i Z rękopisów Juliusza Słowackiego: "Sowiński na Woli" i „Bo mi matka moja siła"; wreszcie poemat Wyspiańskiego p. t. „Piast". Punktem kulminacyjnym tego utworu jest ustęp o rzezi 1846 r. i o potrzebie zmycia tej hańby przez akt zemsty na Cezarach. Na końcu zeszytu „Krytyki" znajdujemy obszerny przegląd prasy krajowej i obcej.

L. K.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.